„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.
Kwartalnie: z przes. poczt. 285 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 429

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 20·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 30·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 40·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 50·—.

Numer pojedynczy **50 Marek.** **Redaktor: K. Krumłowski.** Numer pojedynczy **50 Marek.**



— Czy mi nic nie masz do wyznania? Czy nic nie masz na sercu?
— Owszem, miałam sznurówkę, ale mi ją zdjąć kazałeś!

Od Wydawnictwa.

Z powodu świeżej podwyżki płac personalu drukarni i kliszarni, oraz dalszego podrożenia papieru i chemikaliów, gazu i elektryczności, oraz taryfy przewozowej, zmuszeni jesteśmy podnieść z dniem 1. paźdz ernika b. r. cenę „*Bociana*“ na **50 Marek** za numer, wobec czego prenumerata naszego pisma wynosić będzie odtąd:

Kwartalnie . . . 285·— Mk.
Półrocznie . . . 570·— „
Rocznie . . . . 1140·— „

P. T. Czytelnicy zatem zechcą zrozumieć nasze wyjątkowo krytyczne położenie i przyjść nam z pomocą, nie odmawiając dalszego poparcia, na które pod każdym względem, mimo piętrzące się coraz bardziej trudności, staramy się zasłużyć

Mizerya mieszkaniowa.

Idzie jesień, a z nią chłody
Wraz z poczuciem niewesołem,
Że już trudno spać na Plantach,
Lub noc spędzać pod Kościołem.

Nawet ludzie najbogatsi
Przeklinają za to Kraków,
Lecz o ileż razy więcej
Los jest gorszy dla biedaków.

Magistracie! buduj domy!
Wciąż błagalne głosy biegą,
A Magistrat odpowiada:
„Nie mam za co, nie mam z czego!“

„Winne temu są urzędy,
„Których wylać ani sposób,
„Ani w drodze rekwizycyi
„Nie pomieścić tyle osób!“

Ach! prześwietny Magistracie!
Tylko trochę dobrych chęci
A mieć będą dach nad głową,
Nieszczęśliwi malkontenci!

Wejrzyj okiem swem łaskawie,
Coś zaniedbał do tej pory
Na te gniazda darmozjadów
Spojrzyj tylko na klasztory.

Ile miejsca i przestrzeni
Znajdziesz tam za parę godzin,
Ile można tam pomieścić
Dziś bezdomnych, biednych rodzin!

Na rozstaniu.

Pani Helena, zirytowana na swego męża, chcąc zwalić swego męża w łeb, rozbija go córce, i woła:

— Wiesz co! Rozejdźmy się raczej w świętej zgodzie i spokoju, bo my nie jesteśmy stworzeni dla siebie, mnie trzeba było innego męża.

Z krytyki.

Pan wp. krytyk literacki „Nowej Reformy“, zapewnia, że historyk będzie zaglądał do Czyśca p. Kallasowej. Smacznego apetytu.

Tenże krytyk u jednej z nowozaangażowanych aktorek widzi „materyał obiecujący“, ale nie rozporządzający jeszcze wymaganą przez krytyka techniką. Sądzimy, że jeżeli wspomniana aktorka wywiąże się z obietnicy, to znajdzie się i wymagana technika.

Kto to?

I.

Po mieście chadza z pieskiem na ręce,
W złocistych włosach, w krótkiej sukience,
Rzuca oczami w stronę tę, to tę,
Bo do miłości czuje ochotę.

Troszkę pocieszyć pragnie się nieco,
Jest bowiem wdówką, a latka lecą.
Choć tenor prawo miał do jej łona,
Zgodzi się nawet na barytona.

Więc kokietuje z pieskiem na ręce,
W złocistych włosach, krótkiej sukience
Wetknąwszy w bluzkę czerwony kwiatek...
A ma dopiero sześćdziesiąt latek.

II.

Jest on obojga praw doktorem,
Jest radcą miejskim, mecenasem,
Prezesem, banku dyrektorem —
I potrzebuje sobie czasem
Wydawać pismo tygodniowe,
Zwoływać wiece, palić mówki,
I rzucać myśli, nieraz zdrowe,
Pomiędzy żydów i żydówki.
Lubi też pisać o walucie
I na „przepadłe“ kandydować,
Lecz, że rozbiera go uczucie
Najlepiej lubi on... flirtować.

Więc chociaż łysy jak kolano,
Z twarzy podobny do szympansa,
Pragnąłby codzień, wieczór, rano,
Tańczyć miłości kontredansa.
Gdy więc twarzyczkę ładną zoczy
W teatrze, biurze, na ulicy,
Natychmiast jej zagląda w oczy
I jak psiak krąży przy spódnicy.
Gdy za wybraną żwawo idzie,
Często go spotka los okrutny,
Bo anioł mówi: odknaj, żydzie!
Serce zmiażdżone — koniec smutny!

Wiersze... kwiaty..

Pokochałem pannę jedną
Miłością bez granic,
Tą miłością niepowszednią
Co nie zważa na nic!

By pokazać jak jest rzadki
Afekt mój i wielki,
Znosiłem jej róże, kwiatki,
Wiersze i karmelki!

Wiem ci bowiem, że te dary
Mają skutek wszędzie,
Więc czekałem pełen wiary,
Co z moimi będzie!

Chciał inaczej los garbaty
Cóż ja winien temu?
Ona wzięła wiersze, kwiaty
I dała innemu!

TELEFONICZNA MIZERYA

(HISTORYCZNA FOTOGRAFIA).

Telefon jest to bardzo mądry wynalazek, a mizerya bardzo smaczna potrawa, oczywiście nie w dzisiejszych czasach, gdy nagminnie szerzy się czerwonka, a ogórek w wolnym handlu kosztuje około sto marek. O ile zatem telefon i mizerya, każde z osobna wziąwszy, mają racyę bytu, o tyle, złączywszy się razem, mogą człowiekowi obrzydzić życie i przyprawić conajmniej o waryactwo.

Graham Bell, wynajdując telefon, ani przypuszczał, że wynalazek jego stać się może narzędziem tortur i tak już przez los dość doświadczanej ludzkości.

„Czas to pieniądz“, powiedział sobie postępowy człowiek, stara się też o to, aby go najmniej tracić naprózno, tenże sam przyznał jednak równe prawa kobietom, które z czasem zupełnie się nie liczą. Sławna panna Guzdralska tylko dlatego pozostała starą panną, iż się spóźniła na swój własny ślub.

Telefon ma służyć do oszczędzania czasu, ponieważ zaś obsługiwany jest przeważnie przez przedstawicielki płci nadobnej, nic też dziwnego, że częstokroć, a nawet bardzo często mija się z swem powołaniem.

Pan X, szczęśliwy posiadacz telefonu, przypomina sobie rano jeszcze jeden szczegół, który zapomniał podać swemu adwokatowi, mającemu go dzisiaj zastąpić na rozprawie sądowej w Bochni. Aby pójść osobiście do adwokata, na to już brak czasu, na jazdę stosunki nie pozwalają, telegram doszedłby za trzy dni.

Ale od czegóż jest telefon?... Na szczęście posiada go w domu i adwokat.

Dzwoni zatem pan X, przykłada słuchawkę do ucha i czeka, ale, choć znany jest z cierpliwości, doczekać się nie może, gdyż telefon bawi się w ów obraz z bajki, który nie chciał przemówić do dziada ani razu.

Pan X nastawia zatem ponownie cyfry telefonu i dzwoni, a potem czeka. Po chwili wywiązuje się następujący dyskurs między nim a aparatem:

— Halo!... Czy pan mecenas Y?...

— Nie, panie!... Tu oprawca miejski na Grzegórzkach... Czem panu mogę służyć?

— Przepraszam!... Tu zaszła pomyłka.

Dzwoni znowu i znowu czeka. a po pewnym czasie słyszy w muszli jakiś szmer, pyta:

— Halo! A kto tam?...

— Szpital waryatów — słyszy odpowiedź. — Jeśli pan chce się zgłosić, to żałuję bardzo, gdyż wszystkie miejsca zajęte...

— Dziękuję! Na razie nie mam ochoty... bo i tak za długo czekałbym na pańskie wyzdrowienie, aby zająć jego miejsce...

— To po cóż mnie pan niepokoi?...

„Do trzeciego razu sztuka“ — pomyślał sobie pan X, nastawił jeszcze raz aparat na odpowiedni numer, zadzwonił i znowu czekał, ale tylko po to, by usłyszeć cały chór różnych głosów, męskich i żeńskich, polskich, niemieckich i neutralnych, które załatwiały między sobą interesy natury erotycznej, finansowej, itd. Doprowadzony do ostateczności, przycisnął guzik, umieszczony z boku aparatu, aby szukać ratunku w centrali i czekał w dalszym ciągu, aby mu się zaś nie przykrzyło, dzwonił od czasu do czasu, ale zawsze bez skutku.

Widząc, że w ten sposób nie załatwi sprawy, ubrał się i pospieszył na dworzec w nadziei, że mecenasa przyłapie jeszcze przed odejściem pociągu. Niestety, przybył pięć minut zapóźno.

Wściekły, że stracił tyle drogiego czasu i zaniedbał przez to inny ważny interes, ponadto fatygował się niepotrzebnie aż na dworzec, zamiast wrócić do domu, wstąpił do Maurizia, Hawełki, Kuczmierczyka i Wenzla, aby tam pożalić się przed znajomymi na niedomaganie naszych telefonów. A użalał się tak serdecznie, iż ani się spostrzegł, że się już zaczyna ściemniać, czas zatem wracać na obiad do domu. Tyle jednak skorzystał, że widział się z inżynierem od telefonu, od którego się dowiedział, że automaty funkcyonują wadliwie, gdyż są popsute, a na sprawienie nowych brak funduszów, panny telefonistki urzędują zaś dość opieszale, bo pewne są protekcyi, jaka je otacza.

Pan X, wracając do domu, powtarzał sobie, że telefon, to wynalaz k nie amerykański, lecz dyabelski, a przypomniawszy sobie panny telefonistki, dodał, że „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“.

W tym samym mniejwięcej czasie, co pan X, kłopotał się z telefonem woźny starostwa, nie mogąc się także połączyć z żądanym numerem. I on także szukał ratunku w guziku, umieszczonym z boku aparatu, a skutek dzwonienia był taki sam, jak dla pana X. Ale woźny miał więcej czasu i energii, gniótł też guzik tak długo, aż się wreszcie w muszli odezwał śpiewny damski głosik:

— A czegóż tam znowu?

Wówczas pan woźny, przybierając urzędową minę, rzekł pewnym siebie głosem:

— Tutaj starostwo!... Dzwonię już przeszło pół godziny, a nikt się nie odzywa... My ze siebie żartować nie pozwolimy i ani się panna

Troski Ojca świętego.

Ojciec święty, pasterz dobry,
Ojciec święty nienawidzi,
Gdy się wierni tak sprawują
Jakby lutrzy, albo żydzi.

On wie wszystko i przeczuwa
W Rzymie, w swojej kancelaryi,
Czy kto daje świętopietrze,
Czy kto chodzi do Kalwaryi.

Wie, kto kocha Lubeckiego
I kto czyta „Głos Narodu"",
Wie też, kto jest socyalistą
Wrogiem wiary od „Naprzodu".

Aojcowskie jego serce
Pastwą jest zgryzoty węża,
Gdyż niestety! wie i o tem,
Że źle robią czasem księża.

Pod Krakowem był przypadek,
Oh! przypadek, jakich wiele,
Że chłop z dziewką się ożenił
I sprawili w wsi wesele.

Nic zdrożnego, gdy przystojnie
Naród w ·jski czas przepędza,
A chwalebnie, że na gody
Zaproszono także księdza.

Ale gorzej już, że w karczmie
Uroczystość ta się zdarza,
Że tańczyły dwie żydówki
Młode córki dwie karczmarza.

Ale stokroć, stokroć gorzej
Bo ksiądz poszedł tak daleko,
Że obracał w zapomnieniu,
Raz Rachelką raz Rebeką.

Ojciec święty choć był w Rzymie
Wiedział co jest pod Krakowem
Ojciec święty — On wie wszystko
Bo jest święty, jednem słowem.

Ile razy ksiądz obrócił
Papież zadrżał z niepokojem.
Ile razy ksiądz obrócił
Papież płakał w sercu swojem.

Nie tańcz księże i stłum w sercu
Nieprzystojną swą zachciankę,
A koniecznie chcesz obracać,
To obracaj chrześcijankę!

⊙ ⊙

Ze szkoły.

— Jak długo żyli Adam i Ewa w raju nie grzesząc?

— Dopóki jabłka nie dojrzały!...

W handlu bławatnym.

— Chciałbym kupić dla mojej żony sztuczkę materyi na suknię, ale aby kolor był odpowiedni do koloru jej włosów...

— Najlepiej, jeśli pani dobrodziejka pofatyguje sie sama to dobierzemy...

— To będzie trudno, gdyż moja żona wyjechała na parę dni z Krakowa, a ja chciałbym jej zrobić niespodziankę... Ale jest i na to rada... Ja tu przyniosę jutro jej warkocze, to sprawę załatwimy...

Z ogłoszenia magistratu

Magistrat krakowski ogłosił niedawno następujące obwieszczenie:

„Chcąc ułatwić mieszkańcom miasta w tych ciężkich warunkach aprowizacyjnych wyżywienie się, zezwala Magistrat na wypas bydła na dawnym torze wyścigowym. Tamże z powodu zbliżających się wyborów odbywać się będą także próbne przedbiegi. Po zezwolenia na wypas mają się zgłaszać interesowani osobiście w Wydziale I. a. Magistratu, zgłoszenia do przedbiegów składać należy w prezydyach poszczególnych stronnictw".



Środek na odmłodzenie.

Pana Izydora Liebesberga, właściciela kantoru weksli, kamienicy z ogrodem i nadobnej pełnej temperamentu małżonki Rózi, od pewnego czasu trapił niepokój z powodu zaniku sił żywotnych. Niemniej zasępione było oblicze jego połowicy.

Nagle pan Izydor wyczytał w „Kuryerku", że przez zastrzyknięcie pewnych soków ze zdrowych młodzieńców w odpowiednie organa starszych mężczyzn, można odzyskać siły młodości. Wynalazca tego sposobu próbował go z dobrym skutkiem na małpach.

Pan Izydor pobiegł natychmiast do swojego lekarza z zapytaniem, jak zapatruje się na wynalazek „Kuryera". Lekarz powiedział mu, że wprawdzie „Kuryerkowi" trudno wierzyć, bo znany jest z błagi i bezczelnego łgarstwa, ale bądź co bądź spróbować można.

Ukazało się więc zaraz w „Kuryerze" ogłoszenie: „Poszukuje się młodego człowieka, któryby zechciał za wysokiem wynagrodzeniem"... itd. itd.

Niestety, minął tydzień i drugi — chętny się nie zgłosił.

Zrozpaczony pan Izydor znów udał się do doktora. Ten mu poradził zrobić próbę zastrzygnięcia soków małpich.

Ukazało się więc w „Kuryerku" drugie ogłoszenie: „Kupię małpę, młodego samca. Cena obojętna. Zgłoszenia w administracyi pod znakiem: Judea restituta".

Nazajutrz pan Izydor już był właścicielem wesołej, pełnej życia małpy.

W pół godziny po dokonanym zabiegu pan Izydor poczuł powracające siły młodości.

Uszczęśliwiony wypadł pędem do buduaru żony z okrzykiem: Rózia! jestem znów młody! i obsypał wzruszoną połowicę gorącemi pocałunkami.

Rózia oddała mu je z właściwym sobie temperamentem i pociągnęła go ku kanapie.

— Głupia Rózia — zawołał — co ty sobie mislisz? Tak nie wipada... to żaden interes. Choć do ogrodu... wejdziemy na gałąź...

Co dalej było, kronika nie opowiada. To tylko pewne, że za przykładem p. Izydora poszło wielu jego przyjaciół i odtąd z gałęzi drzew rosnących w obrębie Kazimierza zalatuje wieczorami potężny, nosowy... śpiew słowików.



oglądnie, jak wyleci z urzędu... Już my się o to postaramy... To jest lekceważenie sobie naszej urzędowej osoby... Płacą pannie za to, abyś łączyła, a nie gadała z koleżankami o kawalerach... Proszę mnie połączyć z numerem...

Wymienił numer i o dziwo, uzyskał połączenie!

. . . .

A tymczasem w centrali telefonicznej panny Stasia, Stefcia, Zosia, Mania i Frania, Basia, Kasia i inne, ile ich tam było, zajęte były gorliwie pracą. Panna Stasia pisała list do narzeczonego, Mania piłowała paznokcie, Kasia i Basia opowiadały sobie o wczorajszych wizytach, Frania wyglądała przez okno, Zosia ziewała, słowem nie było ani jednej, która siedziałaby bezczynnie. Ilekroć odezwał się dzwonek, oczy wszystkich kierowały się w stronę aparatu, ale żadna z nich nie ruszyła się z miejsca. Im dzwonek dźwięczał energiczniej, naciskany widocznie niecierpliwą ręką abonenta, tem one były spokojniejsze.

— Pewnie mu się śpieszy — zauważyła Basia, uśmiechając się złośliwie — ale niech sobie dzwoni, skoro mu to sprawia przyjemność... Gdy mu się sprzykrzy, z pewnością przestanie...

I rozmawiały dalej w najlepsze, narzekając, iż nie mają chwili spokoju.

Panna Stasia, mająca widocznie najlepsze serce na niedolę bliźniego, odezwała się po chwili:

— A mogłaby która z was pójść do aparatu i spytać się, czego się tam znowu komuś zachciewa...

— Ani mi się śni — odpowiedziała na to Frania — to zresztą nie mój rejon, lecz twój...

— Tak!... Ale widzisz, że jestem zajęta pisaniem listu, a nie lubię przerywać rozpoczętej roboty.

— I ja nie siedzę także bezczynnie — Frania jej na to i, aby udowodnić wszem wobec, że tak jest, wyjęła z szuflady książkę i zabrała się do lektury.

A dzwonek aparatu jęczał dalej i to coraz żałośniej, sekundowały mu inne, ale i ich głosy nie były w stanie wyprowadzić z równowagi nadobnych cór Ewy, zadających kłam twierdzeniu, że każda niewiasta żyje tylko nerwami.

Nareszcie zdecydowała się panna Zosia podejść do aparatu, który odzywał się energiczniej niż inne i na swoje nieszczęście trafiła właśnie na owego woźnego Starostwa.

Wysłuchała cierpliwie, choć z widocznem oburzeniem jego pogróżek, połączyła go z żądanym numerem, a załatwiwszy się z tem, zwróciła się do koleżanek ze słowami:

— Impertynent!... Za tych marek kilka tysięcy jest człowiek narażony na podobne grubijaństwa... Gdybym wiedziała, kto to taki, wydrapałabym mu oczy!

To zaciekawiło resztę panienek, przerwały swe czynności, zgromadziły się koło Zosi i zasypały ją pytaniami, co zaszło?... Gdy opowiedziała, odezwały się chórem:

— Bezczelność! .. Do czegoś podobnego zdolnym być może tylko mężczyzna i to z pewnością stary i brzydki.

Spoglądały wszystkie z współczuciem na Zosię, jak na ofiarę losu, a ta rzekła, pewna siebie:

— Bałwan!... Figę sobie robię z jego pogróżek. A niech wylecę, nie zginę w świecie... Jestem młoda i przystojna, mogę sobie łatwo zarobić dziennie kilka tysięcy marek, a nie męczyć się cały miesiąc i być dlatego narażoną na podobne nieprzyjemności. Ale ja się im odpłacę!... Dziś jeszcze napiszę do wujcia, który jest posłem i lada dzień pewnie będzie ministrem, a on już się postara o to, aby na cztery wiatry rozpędzono całe Starostwo...

W tej chwili zajęczał znów dzwonek telefonu...

— Zośka!... Twój aparat! — zauważyła Stasia.

— Na złość nie pójdę, niech się nauczą grzeczności.

I rozpoczęła się ogólna rozmowa na temat ciężkiego losu i żmudnej pracy biednych telefonistek, nie mających ani chwili spokoju. Pod tym względem panowała dziwna jednozgodność, wszystkie uważały się za ofiary, pełniące gorliwie swe obowiązki, a nie spotykające się za to nawet z uznaniem...

A dzwonki odzywały się od czasu do czasu i potem milkły, gdy natomiast zegar wybił dwunastą, wszystkie pracowniczki chwyciły za kapelusze, na uwagę zaś Stasi, że należałoby może zaczekać, aż nadejdzie następna partya, zawołała Stefcia:

— Jeszcze czego!... U mnie punktualność to grunt!... Ja pełnię sumiennie moje obowiązki!...

. . . .

Pan X, wysłuchawszy kazania swej żony, iż się spóźnił na obiad, po spożyciu go odszedł do swego pokoju, zastanawiając się nad tem, ile się to oszczędza na czasie i różnych kłopotach, jeśli się jest abonentem telefonu.





— Czy można wejść?
— Niewolno! Myję sobie nogi, bo idę dziś do fotografa!



— Słyszałem, że pani była cierpiącą!
— Tak, ale już przyszłam do siebie!
— Wybornie! wobec tego może pani i do mnie przyjść!



— Napoleon miał powiedzieć: „Pieniędzy! pieniędzy! pieniędzy! Duch Napoleona wcielił się widocznie we mnie!



— Czy pani codziennie tańczy?
— Tak, mój panie! nie lubię nigdy siedzieć z założonemi nogami!



— Dlaczego się tak wydekoltowałaś na ten raut francuskich lekarzy?

— Bo naszych przyjaciół politycznych należy przyjąć tem, co się ma najlepszego!



— Moja praczko! spaliliście mi w prasowaniu nocne koszule!... Wstyd pokazać mi się w nich komu!



— O! jakże mi serce bije!

— Pozwól pani, jestem lekarzem: zbadam natychmiast tętno!



Są to przykre awanturki
Gdy pijany bez pomocy
Musi wsadzić klucz do dziurki
I to w nocy!

Ferdek Elenteryk.



Byłem jeszcze w małżyńskiej łożnicy, gdy usłyszołem tyrczenie talafonu. W pirwszyj chwili byłem myślоncy, że mi to w uchu dzwoni, ale potem przekonołem się, że to talafon. Dałem wince Mańce zeca pod ziobro, aby wstawała, by się dowiedzieć, kto dzwoni. Przecirajonc gały, rzekła przez sen:

— Pfe!... Jak można być tak niedelikatnym wobec damy... Miałam o panu zupyłnie inne wyobrażenie... — i ugryzła sie w język spostrzegłszy, że sie znajduje obok mnie.

— Wstawaj i hulaj do talafonu, bo sie komuś widocznie spieszy...

— Taka tobie droga, jak i mnie!... Idź sobie sam jeżeli jesteś ciekawy...

— O, ty psiaparo — ja jej na to — to ty tak dotrzymujesz zaprzysieнżonygo posłuszyństwa małżyńskiego?...

— Nie przysingołam ci, że bede lotać do talafonu...

Widzoncy, że upartej babie rady nie dam, wylazem z pod małżyńskiej pierzyny i dalej do talafonu, który jenczoł coraz żałośnij.

A trza kuždymu wiedzić, że z powodu cinżkich czasów i grożącyj nom katastrofy opałowyj, wprowadziliśmy w chałupie szystem jednołóżkowy, drugie natomiast łóżko stojonce za parafanem wynajmujemy po pińćset marek za noc od osoby, pojedynczym osobom lub bezdzietnym małżeństwom, chconcym sie dochować potomstwa. Mańka jest dbajonca o to, aby kuždy za te pińćset morek, był należycie obsłużony.

I tej nocy było tam jedno małżyństwo, ale już sie wczyśniej rozlazło, gdyż on musioł knająć na dworzec, aby powitać swom żone wracojoncom z Rabki, a ona spieszyła się do domu, aby swymu menżowi dać w łóżku kawę, co jest bardzo lubioncy.

A talafon tyrczoł i tyrczoł...

— Halo!... — pytam, słuchawkę w grabe bioroncy — Kto tam i jakie mo pożondliwości?..

A z dziury słychać poważny głos:

— Panie Ferdek! Czy to pon?

— A z kimże okoliczność?

— Naczelnik!...

To słyszoncy zaczonem sie być zastanawiajoncy, co tyż to może być za naczelnik... Nowotny nie, bo jego w Krakowie nima, Obidowic tyż nie, gdyż na niego sie dzwoni, gdy sie co zafajczy, a nie on na ludzi, choć to klawy chłop od wiary ze szkoły jeszcze starego Eminowicza... Fenc tyż nie, bo on jest naczelnikiem ino na parade w imieniny świntygo Floryana.

— Halo!... — pytom wienc ciekawy — a z jakimże naczelnikiem mam przyimność?...

— Naczelnik Państwa...

— O la Boga! Bardzo przeproszam pana naczelnika, ale jestem jeszcze bez krawatki...

— Nic nie szkodzi!... Panie Ferdek!... A może podjąłbyś się pan złożynio nowygo gabinetu, bo ten biedroński idzie już na szmelc... Namyśl sie pan i dej mi pan do wieczora odpowiedź...

I zabił ci mi tem pan Naczelnik klina w makówę, bez cały dziń myślałem ino nad tym, jak podzielić teki ministeryalne. Sobie ostawiłem pryzydyum i śtuke, bo tam nima nic do roboty. Ale z inakszymi tekami tak łatwo nie poszło... Na sprawy zagraniczne miołem upatrzonego jednygo z trzech: Pachońskiego, Rzymełke albo Gruszyckiego, bo to morowe chłopy i kuždy z nich mo już order. Sprowy wewnyntrzne chciałem powierzyć jakimu doktorowi od ludzi lub czworonogów, bo ci som sie na tych sprawach najlepi znajoncy, wyznania i oświetlenie publiczne księciu Lubeckimu, wojne regimentorzowi Konfederacyi chochołowskiej, Radzikowskimu, handel i przemysł Horowicowi, który tak klawo handlowoł w syndykackim sklepie, fajanse Raczyńskim, znajoncym sie nie tylko na muzykalności, ale i na podwójnej rachunkowości. Koleje mioł dostać jeden redoktur lubioncy grywać w szmende, a poczta i teligrof jeden binios, umiejoncy klawo telegrafuwać pod stołem, ile razy si znajdzie w damskim towarzystwie. Z innemi tekami kłopotu mnij, łatwij na nie znaleźć kandedata, bo sie żaden zanadto nie jest natężać potrzebujoncy. Roboty publiczne, ochrone pracy i zdrowie można śmiało oddać w jedne rence, a nikt sie tem nie zmęczy, a może mieć pretensye, aby mu płacono trzy pensyje. Aprowizacyje zastrzegła dla siebie Mańka, zapewniojonc, że do kuždemu, co sie mu słušnie należy, chеba, że nie byłoby wstanie, z powodu braku tygo lub owygo, ale to nie byłoby jej wina ino poprzedników, że zostawili taki zapaskudzony fotel.

Wieczorem połonczyłem się talafonicznie z Warsiawą, aby zawiadomić, że gabinet mam fertik i to jak sie patrzy, ale mi odpowiedziano, żem sie spóźnił o godzine, gdyż tymczasem załatwił sie z tem pon Panikowski.



Poseł japoński w Krakowie

Już przyjechał do Krakowa
I zabawi między nami,
Poseł z Państwa kwiatu wiśni,
Ekscelencya Kawakami.

Chcąc ugościć męża stanu,
W sposób wielce uroczysty
Dadzą na galowy obiad
Dynstowane w ryżu glisty.

Wieczór pójdzie do teatrów
Gdzie dwie sztuki najświetniejsze,
W Miejskim dadzą mu „Tajfuna"
A w „Nowościach" znowu „Gejszę".

W nocy będzie w „Odrodzeniu".
Gdzie zobaczy wybór dziewic,
Gdzie z gejszami z poza kresów
Będzie tańczył sam *Leśniewic*.

A gdy wreszcie sytym będzie,
Tańca wina i kupletu,
Najpiękniejszą z gejsz tamtejszych
Może wziąść do gabinetu!

Przy spowiedzi.

— Proszę jegomości pocałowałem Magdę w gębę...

— No... no... a co potem?

— A potem pocałowałem ją w szyję...

— A co potem?

— A potem pocałowałem ją kole piersi...

— No... a potem?

— Potem pocałowałem ją w kolano.

— Hola... nie przeskakuj! smyku jeden!...

Przebiegła.

Żona pewnego rzemieślnika utrzymywała stosunki miłosne z pewnym misyonarzem, ładnym brunetem, który ją stale odwiedzał celem pocieszenia, gdyż jak twierdziła mąż dla niej był niedobry. Miała matkę, której mąż z całego serca nienawidził i unikał z nią spotkania. Zaszedł tedy fakt, że ów misyonarz zmuszony był dłużej pocieszać strapioną i nadszedł mąż.

— Jużeś przyszedł — rzekła zaczerwieniona żona do wchodzącego — wejdźże na chwilę do kuchni, bo tam matka w pokoju, ona zaraz wyjdzie.

I rzeczywiście wyszła ale nie matka tylko misyonarz, a głupi mąż nie domyślając się niczego wchodząc do pokoju poczuł tylko zapach perfum miłości i nową zakrętkę w drzwiach.

U malarza.

Ona: Jaki obraz malujesz na wystawę?
On: Dziewicę.
Ona: Ach!... No, a czy znalazłeś aby jeden model?

Filozofia małżeństwa.

Małżeństwo poznaje się trzy tygodnie, kocha trzy miesiące, sprzecza trzy lata a znosi się lat trzydzieści. — Potem ewentualnie rozwód jeśli jedna lub druga strona znajdzie sobie odpowiedni materyał do nowej miłości.

Ideał żony.

— No i jakże tam twoja żona, dobra — pyta przyjaciel pewnego żonkosia.

— Ach idealna! Powiadam ci taka oszczędna, że koszulę zmienia co dwa miesiące, a tak małomówna, iż od dziesięciu lat nie mogę się od niej dowiedzieć, kto jest ojcem naszej ostatniej córeczki!...

W handlu „pod Obrazem"

Coraz więcej dobrych gości
Pomimo drożyzny
Nikt nie robi oszczędności
Nie widać golizny.

Pan Kazimierz śledzi wzrokiem
Co piją i jedzą
Czy też nie umknęli bokiem
Czy też jeszcze siedzą.

Gdy przychodzi do płacenia
Pyta grubym głosem:
„A kto płaci cztery wódki,
A co jest z bigosem?"

Ale żaden do płacenia
Nie ma jakoś chęci
Ten i ów się symituje
Jak może tak kręci.

Oburzony do żywego
Wściekłość swą objawia,
Że weń Kaźmierz bezpodstawnie,
Jakiś bigos wmawia.

Ale ten jest nieugięty
I w słów swych dowodzie
Pokazuje mu kapustę
Zostałą na brodzie...

Gość przyparty tak do muru
Daje za wygraną
I wyciąga szabaturę
Markami wypchaną.

„Pan daruje, ale porcya
Taka była mała,
Że mi z głowy mimowoli
Całkiem wyleciała!..."

„Że jest mała, ja nie przeczę,
Lecz niech mi pan wierzy,
Że conajmniej dwa tygodnie
W żołądku poleży!"



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Zdaje się, że się zima zbliża, i że będzie ona ciężka, skoro do niej tak gruntownie przygotują się nawet i tygrysy. Wrażenie to odniosłem nie w Indyach, które jak wiadomo z zologii są ojczyzną tygrysów, lecz z *Kuryerka* donoszącego, że „tygrys grecki“, Venizelos ożenił się w Londynie z niejaką panną Schuzzi. Nie wierzyłem temu początkowo sądząc, że to zwykła wiadomość „od naszego korespondenta“, potwierdził ją jednak telegram iskrowy od pana młodego, w którym tenże zaprasza mnie na ślub i wesele. Ale chyba trudno, będąc w Indyach, znaleźć się równocześnie w Londynie, choć, prawdę rzekłszy, lubię gębę puszczać na kwestę i zjeść dobrze i wypić, zwłaszcza jeśli to nic nie kosztuje. Radaby dusza do raju, ale odległość jej przeszkadza. Nie mogę zresztą narzekać i na pobyt w Indyach gdzie Maharadżowie goszczą mnie należycie i koniecznie pragną, abym został na stałe pośród nich, a w sezonie jesiennym urządzimy sobie polowanie na Anglików. Jeden z indyjskich nababów chciał mnie nawet ożenić ze swą kuzynką, której w ten sposób chciał się pozbyć z domu i obiecał wypłacić posag w rupiach, mających stanowczo większą wartość, niż marki polskie. Dawał za nią trzy miliony i kto wie, czy nie byłby mnie skusił do pozbycia się kawalerskiego wianka, gdyby nie okoliczność, że jak się w ostatniej chwili pokazało, kuzynka ma już męża i trzeba albo starać się o rozwód, albo czekać na jego śmierć. A mnie się spieszy i lubię wszystko załatwiać od ręki.

„Tygrys grecki“ był zatem grzeczniejszy od krakowskiego, pamiętając o mnie, gdy natomiast książę Lubecki nie zaprosił mnie na swe gody weselne, choć wie dobrze, że należę do jego gorących wielbicieli i nauczyłem się nawet na pamięć kilku jego łacińskich utworów. Ale taka to już wdzięczność na świecie. Zawstydzę go jednak i po powrocie do Krakowa, dokąd, jak słyszałem, już zjechał, i jemu pierwszemu złożą uszanowanie oraz życzenia jak najskuteczniejszej pracy dla dobra dynastyi i kraju. Tymczasem znajdzie może mieszkanie, miną też miodowe miesiące, nie będę im zatem przeszkadzał w załatwieniu czynności państwowych, do których, jako mąż znany ze swej skrupulatności, zabrał się niezawodnie z całem oddaniem się tak ważnej sprawie. Narazie ograniczyłem się do wysłania gratulacyjnego telegramu „Crescite et multiplicamini“, i to na ręce jego kanclerza, pana Falkowskiego, wiem bowiem dobrze, jak młode małżeństwa nie lubią tego, gdy im się zwłaszcza w nocy przeszkadza, a nie jest wykluczonem, że depesza nadejść może do Krakowa nocną porą. A tak odbierze ją kanclerz i doręczy Jego Książęcej Mości nazajutrz podczas porannego posłuchania.

Venizelos wziął w Londynie ślub cywilny, ma więc to *bene*, że, gdy mu się przejedzą słodycze małżeńskie, łatwiej będzie mógł postarać się o rozwód. Kto zaś powiedział *a*, powie niezawodnie i *b*, nie jest zatem wykluczone, że „grecki tygrys“ spróbuje w danym wypadku ponownie szczęścia a wówczas nie odmówię mu już tej przyjemności i zjawię się na weselnych godach. Mam nawet dla niego bardzo odpowiednią partyę, gdyż muszę się przyznać, że mi to sprawia wielką przyjemność, gdy widzę, jak inny wlazł w błoto, które mnie dotąd ominąć się udało. Szczęśliwych małżeństw skojarzyłem już dosyć, ostatnie moje starania skierowane były, jak wiadomo, ku połączeniu ex-cesarza Wilhelma z ex królową czarnogórską, na co się obie strony zgodziły. Nagły wyjazd Wilhelma z Doorn, o czem doniósł w ubiegłym tygodniu *Kuryerek*, spowodowany był niecierpliwością kandydata do stanu małżeńskiego, który, nie mogąc się doczekać mojego powrotu, ruszył sam w świat szukać szczęścia i słodyczy małżeńskich.

Natomiast „stary tygrys“ Clemeceau, jest mi do dnia dzisiejszego wdzięczny, że go swojego czasu nie ożeniłem, gdy się starał o fotel prezydenta Francyi po ustąpieniu pana Poincaré, a za warunek postawiono mu, iż musi mieć żonę, jeśli nie rodzoną, to bodaj cioteczną, by miał kto reprezentować Francyę w Pałacu Elizejskim.

— Daj ci Boże zdrowie, Klapa — mówił niedawno spotkawszy się ze mną — że nie wpakowałeś mnie wówczas w nieszczęście. Co ja, stary, robiłbym z młodą żoną, bo przecież nie ożeniłbym się ze starą, skoro to ma być „panna młoda“... Takim przyjacielem ludzkości, nie jestem... Cieszę się z tego, że jestem kawalerem, a także i z tego, że i ty pozostałeś wiernym swym zasadom, bo nic łatwiejszego, jak, pomagając innym do wejścia w słodkie więzy Hymenu, samemu się w nich znaleźć.

Odpowiedziałem mu na to, że starokawalestwo jest w naszym rodzie dziedziczne i temu tylko zawdzięczamy, że prawie wszyscy dochodzimy późnej i czerstwej starości, jakiej nie powstydziłby się i ów słynny z legendy ojciec Gaudenty, który po sześćdziesiątce rozbijał jeszcze orzechy i to nie młotkiem, ani nawet w palcach.

Co się tyczy politycznej strony mego pobytu w Indyach, to osiągnąłem najzupełniejszy skutek. Jak już wiecie z telegramow, powstanie w Indyach wybuchło, a naiwny Lloyd George zwala winę na bolszewików, ani nie przypuszczając, że w tem jest ręka Klapy, a gdy ten zabierze się do czego, musi się to stanowczo udać. Zachęcony mem powodzeniem, stanął mu też zaraz okoniem i de Valera w Irlandyi, a choć Anglia odniosła pozorne zwycięstwo przy wyborach prezydenta Ligi Narodów, forsując swego kandydata w osobie holenderskiego ministra Karnebecka, zaraz po powrocie do Europy postaram się o to, aby przekonać świat, że to złudzenie optyczne. Postawię swoją kandydaturę, i chciałbym widzieć, aby jej sprzeciwiło się któreś z państw, do Ligi należących. A jeśliby znalazł się taki śmiałek, mam w tem głowa, aby z Ligi była figa. Obchodziliśmy się dotąd bez niej, obejdziemy się i nadal, nadto oszczędzimy sobie kosztów i kłopotów.

Żałuję bardzo, że w tym czasie nie mogę być w Polsce, gdyż załatwiłbym wam bardzo prędko wszystkie przesilenia gabinetowe, ale trudno, bawiąc w Indyach, tak niedaleko Japonii, muszę doczekać dnia wesela księcia Hirohito, a potem jazda z powrotem do Europy!

Czekajcie mnie zdrowo...

Klapa.

Także wypadek.

Pewna elegancka młoda dama wychodząc z teatru upadła w foyer na najwięcej mięsną część ciała i dotkliwie się potłukła. Z ledwością doszła do fiakra i przyjechawszy do domu posłała w tej chwili po słynnego specyalistę.

Doktór przybył natychmiast z aparatem, oglądnął, wygładził stłuczone porządnie miejsce i zauważył pewne opuchnięcie.

— Czy to będzie widoczne panie doktorze? — spytała dama wielce zatroskana.

— To zależy od łaskawej pani — odpowiedział specyalista.

●●●

Prośba.

Dziewczyno, pokaż nóżęta —
Niech je swą dłonią pogłaszczę;
Niech zjem ich — wszak ludzi w paszczę
Chwytają tylko zwierzęta.

Dziewczyno! pokaż kolanka —
Nie bój się o ich rabunek;
Przytem kolanko nie szklanka,
Nie stłucze go pocałunek.

Dziewczyno! pokaż jabłuszka,
Niechaj się niemi popieszczę —
Już chowasz? Prośba do uszka:
Pokaż mi więcej coś jeszcze...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



— Obrzydliwy sknero! Czy chcesz, żebym po ulicy goło chodziła? Może wtedy znajdę jaką litościwą męską duszę, która mnie okryje.